Lwów, 13. Lutego. Nr 19. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek, Czwartek* i *Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Zlr. półr. **3** Zlr. kwartal. **1** Zlr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Zlr.—półrocznie **4** Zlr.—kwartalnie **2** Zlr. m. k. Rycimy mód kwartal. **1** Zlr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr.. za nastep. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksiegarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO-ŻONA.

Powieść społeczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XVII.

(ciąg dalszy.)

Kiedy Edmund w dniu owym pierwszym wiosennym wszedł do domku Sieniawskich, nikt go tam nie poznał.

Działo się to przed samym wieczorem. Pani Sieniawska siedziała przy oknie i słuchała jakiejś książki ciekawej, którą jej Hania głośno czytała; pan Dominik przechadzał się po pokoju i także niby-to słuchał, ale w rzeczy myślał sobie coś dziwnie o Janie Sieniawskim, który z tak znakomitego pochodząc rodu, był tylko sędzią ziemskim a co gorsza, nie wiedzieć z pewnością, skąd wziął się na świecie, bo ostatni ze znanych przed nim Sieniawskich, Rafał, kasztelan kamieniecki, żadnego nie zostawił potomstwa. Tak różnie sobie myśląc o tym nieboszczyku, dawno już spruchniałym w jakichś grobach kościelnych, przesuwał co chwilę swoją furażerkę z ucha na ucho i bardzo się niecierpliwił, — a tymczasem, przez drzwi otwarte wszedłszy, stanął nagle na środku pokoju pan Edmund. Obaczywszy go niespodziewanie pan Dominik, odskoczył od niego i wlepił weń zadziwione swe oczy, Hania nagle urwała czytanie a pani Sieniawska spytała:

— Kto wszedł Haniu?

Ale na to ogólne nastąpiło milczenie, i trwało przez długą chwilę, aż Edmund sam się odezwał, mówiąc:

— Widzę, że państwo nie poznacie swojego sąsiada.

— A! to pan hrabia... rzekł na to Sieniawski, zdejmując furażerkę i mięszając się cokolwiek, bo mu się przypomniała ostatnia z tym sąsiadem rozmowa, w której on dóm mu wymówił a tamten przez zbyteczną porywczość poczęstował go za to jakimś niemałym komplementem. Stary archiwista był, jak to już wiemy, nie pomału ambitny i urazy zapominał nie łatwo, więc już tylko co nie wyjechał z odwetem, gdy w tem Hania, powstając z miejsca, zawołała:

— Pan Edmund!... i dodała z łagodnym wyrzutem, po latach dziesięciu przypomniał sobie w łasce swojej o ubogich sąsiadach....

— Nie dziw się pani temu, — rzekł na to Edmund, lat dziesięć to czas długi w życiu człowieka; a szczęśliwy ten bardzo, któren w jego przeciągu o niczem więcej nie zapomni, oprócz o oddalonych od siebie sąsiadach!

Edmund powiedział te słowa tonem tak smutnym i rzewnym, że się pogodził odrazu z całym domem Sieniawskich, jakoż natychmiast obsiedli go wszyscy i zaczęła się żywa i zajmująca rozmowa. Zajmująca dla wszystkich, bo każden opowiadał koleje swego dziesięcio-letniego życia. I tak pani Sieniawska opisywała ze szczegółami, jako światło dzienne traciła, jak jest dziś nieszczęśliwą w tem swojem kalectwie i jak jej to nieszczęście jej ukochana córka osładza; pan Dominik opowiadał, jakie ciekawe szczegóły o rodzie Sieniawskich wzbogaciły przez ten czas jego dawne wyciągi, jako chorował raz bardzo niebespiecznie i już jedną nogą był w grobie, jakie nareszcie miał przejścia ze swoimi Sieniawszczanami, którzy się kaducznie powyradzali od swoich przodków, z porządnych i zacnych przedmieszczan poschodzili na szewców i na gałganiarzy, popożyczali od niego pieniądze, nie pooddawali, w skutek czego musiał się wodzić z nimi po sądach, przysięgać, grabić, pakować do kozy a pomimo to wszystko przecie nareszcie stracić znaczną część swego krwawo zarobionego grosza. Edmund wspomniał krótko o tem, że miał żonę i że ją utracił, lecz opowiadał za to obszernie, jako był w Anglii, w Indyach, w Australii, jako potem powrócił na wieś do siebie, zaczął gospodarować i miał jeszcze pod wielu względami nadzieje, jako i te nadzieje utracił od razu i teraz.... przyjechał do Lwowa, ażeby oczekiwać w spokoju, kiedy ostatnia się przed nim otworzy nadzieja: grób kamienny na łyczakowskim cmentarzu.

Z wielkim smutkiem słuchali wszyscy tej przerażającej spowiedzi i wszyscy starali się go pocieszyć, mówiąc, że to są zwykłe tego życia koleje, że rospacz taka jest tylko usposobieniem chwilowem, że jest jeszcze za nadto młody na to, ażeby niemógł już mieć innych na tej ziemi widoków prócz grobu, i że to wszystko jeszcze się odmieni. A chociaż pan Dominik wypowiedział przy tem kilka słów niezaprzeczenie mądrych i wielkich, lubo dawno już znanych, i chociaż pani Sieniawska mówiła równie mądrze a przytem bardzo nabożnie; toż jednak widać to było, że ci ludzie oboje nie umieli pojąć tego rodzaju rospaczy,

która owładnęła Edmunda, a przez to ich pocieszenia nie były w stanie trafić do jego serca.

Hania tylko krótkiemi słowy odzywała się przy tej rozmowie, ale każda jej uwaga, każde jej zdanie było tak proste, tak zdrowe, że Edmund, chociaż od lat już wielu jak najszczelniej się w sobie zamykał i żadnych zwierzeń przed nikim nie czynił, rozgadał się teraz na dobre i wypowiedział wiele takich myśli i uczuć, które w jego głowie i sercu już były strupieszały, tak jak suknie umarłych trupieją po grobach.

Wkrótce potem pan Dominik wyszedł do jakiegoś ze swoich dłużników, który mu się zameldował, pani Sieniawska zasunęła się w kącik i opuściwszy głowę na piersi, troszeczkę przysnęła, a Edmund, siedzący w poręczowem krześle naprzeciw Hani, tak kończył swoją rozmowę:

— Tak, pani kochana. Z tych kilkunastu szczegółów, które pani opowiedziałem w nieładzie, możesz pani sobie złożyć historyą mojego życia, a kiedy ją przejrzysz w całości, to niezawodnie zgodzisz się ze mną, że to już historya jest cała i do jej skończenia nie brakuje nic więcej, tylko śmierci jej bohatera. Bohater ten może żyć jeszcze lat dwadzieścia i więcej, jeżeli Bóg nie zechce zlitować się nad nim, ale to już nie będzie bohater, nie człowiek... to trup moralny, to upior duchowy, niedopuszczony do grobu i błąkający się między żywemi.

— Nie mogę tego zaprzeczyć, — rzekła na to Hania budząc się z zamyślenia, w które ją wprawiło opowiadanie Edmunda, — że z tych kilku ustępów z życia, które nam pan opowiedziałeś, domyślam się już po części, jaką jest jego całość... Urodziłeś się pan, jak to mówimy zwyczajnie, pod gwiazdą szczęśliwą. Młody, bogaty, uposażony od natury wszystkiemi możliwemi darami, miałeś pan prawo do najpiękniejszych nadziei. Takich nadziei uczyniłeś sobie pan kilka, wypielęgnowałeś, ukochałeś je sercem, nastroiłeś je swoją bujną wyobraźnią do najwyższej potęgi a wolą swoją narzuciłeś sobie to przekonanie, że muszą się spełnić. Tymczasem, jak to się bardzo często wydarza na świecie, droga życia pańskiego nie poszła tym torem, jaki jej naznaczyłeś z góry... zaszły niezawisłe od pana okoliczności... zaskoczyły nieubłagane przypadki... i pomału pozrywały się wszystkie te struny, które nastrojone na ton zgodny ze sobą, miały kiedyś odegrać wzniosły hymn życia pańskiego. Dzisiaj struny te pozrywane nie są już w stanie wydać głosu ze siebie a chociaż lutnia jeszcze jest cała, brakuje jej ręki mistrza, który by struny potargane umiał pospajać na nowo, nawiązać je, nastroić i nadać im władzę dawnego głosu. O! czuję ja dobrze stan duszy pańskiej... jest-to choroba moralna, jedna z najuciążliwszych, grasująca dzisiaj jak nowy mór między nami, porywająca co najwznioślejsze dusze, co najgorętsze serca z naszego koła... Nie sądzę jednak, żeby ta choroba miała być koniecznie śmiertelną i w żaden sposób nie mogę uwierzyć temu, ażeby na nią nie było lekarstwa.

— Lekarstwa?..... zawołał Edmund, — ha! znam ja dobrze to lekarstwo!.. jest ono niezawodnie skuteczne..... chociaż tak proste i łatwe.... łut prochu i kilka łutów ołowiu!... ale...

— Ach! cóż też pan mówisz, panie Edmundzie! — krzyknęła na to ze wstrętem Hania, — toż tyle nauki, tyle szlachetnych uczuć, tyle doświadczenia, to wszystko razem nie potrafi się zdobyć na nic innego, jak na samobójstwo?..

Edmund patrzał prosto w twarz Hani, ani słowa nie mówiąc, — tymczasem ona, przestraszona i drżąca jeszcze od przerażenia, jakie na niej sprawiły nieoględne słowa Edmunda, zapatrzyła się smutnemi oczyma w ziemię, westchnęła z głębi piersi i rzekła:

— O Boże! jakże nieszczęśliwi są ludzie, którzy się sami pozbawili Twej wszechmocnej opieki!

— Czy pani sądzisz, — spytał Edmund po chwili, — że i ja do nich należę?

— Nie mogę sądzić inaczej, — odpowiedziała stanowczo Hania. Bo gdzie jest głęboka wiara w Boga i w tę przyszłość wielką, do której ta ziemska wędrówka nasza jest tylko przygotowaniem, gdzie jest prawdziwa i niczem niezamącona religijność uczucia i myśli; tam jest i wieczny spokój duszy, tam jest święta cierpliwość, tam pokora, tam poddanie się Boskim wyrokom; — a gdzie jest znowu to wszystko, tam takie świętokradzkie wybryki, myśli, jak samobójstwo, mieć miejsca nie mogą. Samobójstwo może być tylko dzieckiem popełnionego występku, dzieckiem obalonej pychy, skażonej dumy, dzieckiem wreszcie tej rospaczy szalonej, pogańskiej, która w ciemnocie swojej nie widzi żadnej przyszłości przed sobą a która od czasu przyjścia na świat Chrystusa Pana, nie może już nigdy być usprawiedliwioną. Od owej wielkiej chwili, w której wytrwanie w cierpieniach ziemskich z pokorą i ufnością w wiekuistą za to nagrodę, zostało nam przez samego Boga wskazanem jako najwyższy szczyt i korona cnót ludzkich, od owej chwili.... ale cóż ja mam panu mówić o rzeczach takich, o których wiesz daleko lepiej odemnie.

— Ale owszem, mów pani, — rzekł na to Edmund,— bardzo proszę....

— Nie, — odpowiedziała Hania, — ja tylko chciałam panu powiedzieć, iż nie mogę temu uwierzyć, ażeby myśl taka okropna mogła istotnie przyjść panu do głowy.

— I masz pani słuszność zupełną.... myśl taka jako przedsięwzięcie jeszcze nigdy postała w mej głowie, sam nawet nie wiem dla czego o niej w tej chwili wspomniałem.

— Jeżeli się nie mylę, — zauważała Hania, — wspomniałeś pan o niej dla tego, ażeby dowieść, że na pańską

chorobę nie masz już żadnego godziwego lekarstwa?

— A tak, tak było w istocie, — rzekł na to Edmund, a czy pani sądzisz, że jest jeszcze jakie lekarstwo?

— Ja sądzę, że jest, bo Ten który nas stworzył i pozwolił nam Siebie ojcem nazywać, jeżeli zsyła na nas choroby, nie zostawia nas nigdy bez ratunku. Nasza w tem wina, jeżeli tego ratunku znaleść nie umiemy a jeszcze większa natenczas, jeżeli go wcale nie szukamy.

— Tak zapewne, wszystko to prawda, — rzekł na to Edmund, kiwnąwszy ręką, ale przy tem wszystkiem śmierć jest także chorobą i także od Boga pochodzi, a przecież nie masz na nią lekarstwa.

— A przepraszam pana, śmierć nie jest chorobą.

— A czem-że jest śmierć, proszę pana?

— Śmierć jest śmiercią, odpowiedziała Hania, śmierć jest owym momentem naszego istnienia, w którym kończymy życie doczesne a zaczynamy wieczne.... albo raczej, jest ona owym jeszcze daleko ważniejszym momentem w którym nas się pytają za ziemią, nie o to, cośmy chcieli, ale o to cośmy rzeczywiście zrobili na ziemi.

— Przecież choć na tym sądzie, — rzekł na to Edmund, — będą uwzględnione nasze chęci i nasze zamiary, chociaż-by nie były doprowadzone do żadnych skutków.....

— Będą, ale tylko o tyle, o ile ich urzeczywistnienie było prawdopodobnem.

— A jeżeli nie było prawdopodobnem?

— To takie zamiary za nic nie staną przed panem Bogiem.

— Ale też nie będą nikomu policzone za winę.

— Owszem, będą policzone za winę, osobliwie też wtenczas, jeżeli dla nich zaniedbane zostały wszystkie obowiązki bliższe, co prawie zawsze się zdarza.

— Ja nie jestem takiego zdania.

— A ja jestem tego zdania, bo tak nas uczy katechizm, — rzekła z przyciskiem córka archiwisty. Każden człowiek ma swoje przeznaczenie a tem przeznaczeniem jest przedewszystkiem spełnienie tych obowiązków, z któremi, że tak powiem, na świat się urodził. Są to zwyczajnie obowiązki względem kościoła i wiary, względem rodziny, względem tych, których los naszej powierzył opiece a nareszcie obowiązki względem społeczeństwa, w którem żyjemy, po których idą obowiązki względem całej ludzkości. Taki jest zdaje mi się porządek tych obowiązków a tego porządku nie wolno nikomu zmieniać ni przekraczać. Jest to rzecz bardzo prosta a przytem konieczna, bo gdyby n. p. jakieś zamiary wielkie, jakieś wcale dalekie mogły nas uwolnić od dopełnienia obowiązków nas bliższych, to cóżby było łatwiejszego, jak być najszkaradniejszym zbrodniarzem a pomimo to uniewinnionym z swych zbrodni? Ktoś n. p. mógł-by się spoganić, rodzinę swoją puścić z kijem żebraczym pomiędzy ludzi, gromady swoje porozpajać, podemoralizować, dać poobdzierać przez ekonomów i włodarzy i przytem być najniewinniejszym a może jeszcze i jakim niepospolitym człowiekiem: a dla czego? oto dla tego że myślał o tem, że miał zamiary, miał chęć zbawić w jakiś-tam sposób społeczeństwo albo uszczęśliwić czemś-tam ludzkość. Zamiary te nie zostały urzeczywistnione; nie jego to wina; to być może, to prawda; ale czyjaż to wina, że o Bogu zapomniał, że zubożył rodzinę, że tyle innych rodzin przyprowadził do nędzy i grzechu? To pewnie już tylko jego wina być może i tego pan nie zaprzeczysz.

Tego wszystkiego słuchał Edmund w ponurem milczeniu i dziwnie zasępionemi oczyma patrzał w twarz Hani, co widząc ona, uśmiechnęła się z wyrazem żalu na twarzy i wyciągnąwszy rękę ku niemu, rzekła:

— Przepraszam pana... niepotrzebniem się zapuściła w tak daleką dysputę... ale proszę mi wierzyć, że mówiąc to, ani pomyślałam o panu.... całkiem kogo innego miałam w tej chwili na myśli.

Te słowa rozpogodziły twarz zamyślonego Edmunda, jakoż natychmiast oddał on uśmiech za uśmiech, ścisnął poczciwą rękę sobie podaną i rzekł żartobliwie:

— I wszystko to stoi w katechizmie?

— Wszystko co do słowa, — odpowiedziała Hania, trzeba tylko mieć wielką wiarę w tę małą książeczkę i trzeba umieć czasem czytać pomiędzy wierszami.

— Niestety! rzekł na to Edmund z westchnieniem powstając z miejsca, — za stary już jestem, ażebym mógł się jeszcze teraz wziąć do tej lektury a jak widzę źle mnie przy niej pilnowano za młodu, ale jeżeli pani pozwolisz, to będę tu czasem przychodził do pani na katechizm.

To rzekłszy, chciał się już żegnać, ale Hania zatrzymała go jeszcze, mówiąc:

— Za pozwoleniem, jeszcze jedno słóweczko. Otóż druga wada wszystkich panów teraźniejszego wieku jest to, iż ledwie któren wieku męskiego dosięgnie, już powiada, że jest za stary i to za stary do wszystkiego. Już on wszystko wie, wszystko widział, wszystkiego doświadczył i — na wszystkiem się zawiódł. Dla kogóż świat ten cały, tak bogaty, wspaniały i wielki? dla kogóż nauki, rolnictwo, handel, przemysł, urzędy? dla dzieci?....

Edmund śmiał się i był w dobrym humorze. I byłby znowu zasiadł do drugiej takiej rozmowy, ale już miał kapelusz w ręku a z kapeluszem w ręku nie miał zwyczaju żadnych rozmów odbywać, bo to jakoś audyencyonalnie wygląda. Więc wyszedł — przyrzekł raz jeszcze przychodzić odtąd do Hani na katechizm.

I rzeczywiście odtąd odwiedzał on bardzo często ubogi domek Sieniawskich. Różne dysputy i o różnych przedmiotach trwały wciąż pomiędzy nim i Hanią — a każda z tych dysput zdawała się nowe życie wlewać w zamarłą duszę Edmunda. Była to rzecz bardzo prosta i naturalna. Edmund nigdy nie znał kobiety tego rodzaju jak Hania. — Jej czysta i żadnemi niesfornemi namiętnościa-

mi niezamącona religijność uczucia, jej zdrowy rozsądek jej spokój duszy i serca, wszystko to razem nie mogło inaczej działać na niego, jak tylko zbawiennie. Wiele też niedorzeczności swojego życia dopiero teraz przy świetle jej prostego rozsądku dojrzał on dobrze, i słusznie ocenił, wiele dawniej dziwnie zawikłanych dla siebie zagadek odgadł i rozwiązał, wiele fałszywych wyobrażeń porzucił, wiele przesądów w sobie zwalczył a co najważniejsza, wszystkie swe smutki i żale, wszystkie bóle, zawody, zwątpienia dobrej, szczerej, braterskiej duszy powierzył. Nigdy on dotychczas nie miał nikogo, któregoby do takiej poufałości przypuścił, jego całe życie było tajemnicą dla świata a dla niego najnieznośniejszym ciężarem, który sam swoją siłą niósł w sobie i tłumił. Syzyfusowa-to była praca i męka, — i teraz po raz piewszy dopiero jej się ulżyło. Wszakże z tych wszystkich spowiedzi największą ulgę przyniosło mu to, że się przed Hanią zwierzył z całego swego pożycia z Adelą. Przez lat dziesięć prawie tłumił on w głębi swojego serca to straszne wspomnienie i przez lat dziesięć uciekał myślą od niego, jak od upiora. Teraz, kiedy go z tego pogrzebu wydobył, drżał cały i trząsł się tak prawie jak wtenczas, kiedy szedł z starym Burką żonę podchwycić na schadzce. Płakał rzewnemi zami, kiedy mówił o swojem szczęściu w pierwszych latach po ślubie, łkał z żalu i dławił się łzami, kiedy mu przyszło mówić o tego szczęścia utracie i zamiast opowiedzenia całej owej sceny w łazience, wyjąknał tylko:

— Dziesięć lat temu.... a ja jeszcze płaczę!...

I wszyscy z nim razem płakali. Hania szlochała w głos jak dziecko, pani Sieniawska chustki nie mogła odjąć od oczu, stary archiwista nawet z ust lulkę wypuścił, mruczał coś sobie pod nosem i łzy rękawem ocierał. Tego wieczora nie było już żadnej dalszej rozmowy. Edmund bardzo smutny, z zwieszoną głową i jakby jakiem nowem powalony nieszczęściem, ledwie się zawlekł co domu, — ale na drugi dzień za to daleko wcześniej jak zwykle przyszedł do domku Sieniawskich. Z progu zaraz wyciągnął on obydwie ręce ku Hani i rzekł:

— O! czemuż ja was pierwej nie znałem! Nie był-bym nigdy był w Anglii i Indyach i może dziś był-bym żywym i pracowitym człowiekiem.

Hania podziękowała mu grzecznie za to szczere uznanie ich poczciwości i mówiła wiele o świecie i ludziach, chcąc dowieśdź, że zawsze i wszędzie jest daleko więcej dobrych ludzi niż złych i tylko niepowodzenia i nieszczęścia nasze wykrzywiają nasz wzrok pod tym względem. Mówiła potem wiele o Adeli a zawsza na jej usprawiedliwienie, nie usprawiedliwiając jej występku, ale składając jego winę na jej wychowanie. To podało Edmundowi sposobność poznania zasad moralnych Hani z tej strony, z której może były najwięcej zajmującemi, osobliwie dla niego, który, wychowany w świecie używającym wielu swobód pod względem moralności, rzadko kiedy wspomina co o takich zasadach. Rozmowa ta także nasunęła mu mimowolnie porównanie Hani z Adelą; porównanie to na jak wielką korzyść wypadło dla dawnej kochanki Kamila, łatwo odgadnąć, — a po tem porównaniu nie mogło nic innego się urodzić w piersi Edmunda, jak tylko gorące westchnienie: Czemuż taką nie była ta, którą wybrałem na żonę!

Odtąd dziwne jakieś myśli zaczęły się snuć po głowie Edmunda. Czuł to, że głęboki i szczery szacunek dla Hani utrwalił się w jego sercu; oprócz szacunku odzywało się tam jeszcze coś więcej, dla czego wprawdzie nie umiał znaleśc nazwiska, ale co go uporczywie ciągnęło do domku Sieniawskich; widział to jawnie, że tylko tego rodzaju kobieta jak Hania mogła-by go powrócić światu, życiu, zajęciom, nadziejom; przyznawał to sobie ciągle, że prócz takiego, żadnych już innych widoków mieć nie może w tem życiu; powtarzał się często, jak mądrze uczynił, że się rozwiódł z Adelą i całkiem wolnym jest teraz; wyobrażał sobie dom swój, zaludniony, odżywiony na nowo, w tym domu żonę kochającą, kochaną, szanowaną, wielbioną przez wszystkich, w tym domu spokój, szczęście, radość sług, pociecha dla Burki, wyczekującego z niecierpliwością tej chwili, w której nowego swoich panów potomka będzie mógł podnieść ku niebu na swoich zgrzybiałych rękach... i tak różne myśli mu się poczęły snuć po głowie i składać się w różne kombinacye i różne widoki, przynosząc ze sobą na teraz przynajmniej ten skutek zbawienny, że się Edmund trochę odżywiał, czuł trochę zdrowiej, czytał wyraźniej i myślał czasem o rzeczach przyszłych, mających się spełnić nie na Łyczakowskim cmętarzu, ale tu gdzieś jeszcze w tem życiu.

A kiedy takie myśli otworzyły sobie wstęp do głowy Edmunda, tu, w domku starego archiwisty, poczęły się także jawić różne jakieś nieznane dotąd widoki i plany. Najpierwej więc pani Sieniawskiej przyszła myśl taka, czy-by też teraz nie można tak się pokierować, żeby Hanię wydać za pana Hrabiego. Już to raz i przed laty dziesięciu przyszła była taka sama myśl tej matce poczciwej, ale wtedy zepsuł był wszystko niepotrzebnie ambitny jej godny małżonek; teraz atoli i on jakoś innego był zdania i przyznał swojej małżonce, że może-by to doprawdy było nie od rzeczy. A kiedy tak oboje rodzice zgodzili się na to, dano to zwolna do poznania Hani.

Ale Hani żadna podobna myśl nie przyszła była do głowy.

— Nie, moi państwo, — odpowiedziała ona rodzicom, na to się nigdy nie zgodzę. Pan Edmund nie jest mężem dla mnie ani ja żoną dla niego. Możemy sobie wyrównać wykształceniem, możemy się zgodzić ze sobą i głową i sercem, i mogło-by może stąd wiele szczęścia wyniknąć dla mnie ale bardzo mało dla niego. Panna urodzona i

wychowana w ubogim domku na Sieniawszczyźnie nie może być nigdy stosowną żoną dla pana, mieszkającego w pałacu, mającego wielkie familine relacye, mającego wielkie znaczenie w sąsiedztwie i chcącego utrzymywać dom odpowiedni temu znaczeniu. Szczęście, którego-by on mógł doznać przy mnie w samotności, nie zakryło-by nigdy tego wstydu, którego-by musiał ze mnie doświadczyć przy gościach. A cóż-by powiedział świat na to? co jego familija? co cała okolica? Ja-bym przeżyła całe życie w nieskończonem upokorzeniu, a on w nieskończonym żalu za swoją pierwszą żoną. Zresztą gdyby i nie to wszystko i gdyby on rzeczywiście odezwał się o moją rękę, to jeszcze zawsze, pomna na to, że to jest człowiek moralnie chory, nie chciała-bym z jego choroby korzystać. A nakoniec.... wiecie państwo sami, że serce moje prawdziwą miłością zajął już kto inny... dawno to już temu i bardzo już dawno!.... pomimo to jednak miłość ta żyje jeszcze i jeszcze ma swoje nadzieje.... a te nadzieje milsze mi są od każdej rzeczywistości.

— I w tem-to podobno leży główna przyczyna! rzekli na to ze smutkiem rodzice. (D. c. n.

Zając na polowaniu.

Zebrane raz zwierzęta ogromną gromadą
Niedźwiedzia z lasu wyparły
Na czystem polu zażarły
I gdy już rozdartego do podziału kładą,
Chcąc by mu się coś dostało
Przyskoczył i zając śmiało,
I do ucha się przypytał:
—Ho! ho! stójno kusy panie!
Krzykną źwierzęta, zkąd tu wać zawitał?
Widział cię kto żeś z nami odbył polowanie?
— Jakto bracia! krzyknął zając,
Nie jaż go to z pod lasu skacząc i ścigając
Napędził w wasze pazury
Byście go rozszarpali lub zdarli ze skóry?
Taka przechwałka mniemanego zucha,
Choć kłamstwem widocznem była
Tak zwierzęta rozśmieszyła,
Iż dano zającowi kawałeczek ucha.

Z podobnych dziś junaków lubo drwią na świecie,
Zyskać im część zdobyczy udaje się przecie.

A. P.

PIERWSZA WIZYTA.

Z Złoczowskiego.

— Dobry śnieg w nocy upadł, sanna się ustaliła, to możebyśmy gdzie w sąsiedztwo pojechali? zapytał mnie mój jeszcze w łóżku leżący gospodarz, do którego na parę dni świąt Bożego narodzenia przyjechałem.

— I owszem odrzekłem, jeżeli macie tu coś nakształt sąsiedztwa, bo mnie się zdaje, że wkrótce to słowo chyba tylko jeszcze w słowniku Lindego figurować będzie.

— Więc do kogoż pojedziemy?

— Jedźmy do państwa Gruszczyńskich!

— Nie chcę, bo tam młode jeszcze, kochające się małżeństwo i dwie młodych kuzynek w domu. To będą plotki, gotów kto konkurami nazwać.

— No to do pana Jabłkiewicza!

—Do tego nudnego, starego kawalera, co to tylko cały dzień o Sebastopolu rozprawia, czyś oszalał?.

— To jedźmy do Śliwkowskich.

— Śliwkowscy! to wielka i stara, jak śliwki węgierskie, familia, ale nudna niezmiernie, osobliwie odkąd zachorowała na wielkie państwo, i zamiast po objedzie poczciwem winem, częstuje, naśladując hrabiów, obrzydliwym chasse-cafée.

— Kiedyż bo ty okrutny grymaśnik!

— A widzisz że nie ma sąsiedztwa.

— Poczekaj, pojedziemy do państwa Zygmuntów. To dom bardzo gościnny, jak właśnie ty lubisz, bez głupich ceregelów. Pani sama bardzo przyjemna, a Zygmunta znasz przecie.

— Zgoda, tam pojadę, bom tak już dosyć dawno i jemu się obiecał.

Tym czasem wstaliśmy z łóżka, ubrali, potem parę godzin ze sobą serdecznie ponudzili, i na reszcie powczesnym obiedzie, wygodnemi sankami i jak na tak drogi owies, nawet nie bardzo chudemi szkapami wyjechali.

Mieliśmy półtorej mili iechać. W nocy była zawierzucha, więc drogi pozadymane. Przez wieś był jeszcze jaki taki prześladek, lecz wyjechawszy z niej, jeszcześmy do lasu się nie dostali, a już konie pozapadały w niezgłębione zaspy. Na nasze szczęście nadjechało kilka fur chłopskich z lasu, bo właśnie była to sobota, dzień tygodniowy wywozu drzewa. Chłopi byli z tej samej wsi, więc poznawszy swego pana, poskoczyli na nasz ratunek.

Bo musicie wiedzieć że u nas chłopi nie takie gbury jak mazury, a chociaż nie mamy już pańszczyzny, zawsze staramy się utrzymać starodawną dziedzicowską powagę. Otoż w tym celu porządnie zfukani nasi wybawiciele, przez swego dziedzica w lot nas ze śniegu wydobyli z całym należytym respektem, to jest milczkiem i bez czapek.

I tak szczęśliwie wydobyci, po śladzie naszych zbawców, zajechaliśmy na miejsce przeznaczenia, a ja z pierwszą wizytą.

Lecz bardzo by się pomylił, ktoby myślał żeśmy zajechali po dawnemu na obszerny dziedziniec, przed frontowy ganek obszernego domu. Bo dziś kiedy uciekła szczerość i otwartość z dworow, uciekł i frontowy ganek dworów, dla tego też i my nie z frontu głośno, lecz z tyłu cichaczem, przez jakieś klomby ogrodowe dostali się do niego.

Ten klomb żeby go wszyscy d...., bo furman tak się jego widokiem skonfundował, iż zamiast przed same choć tylne drzwi zajechać, zapakował się gdzieś między ciernie i głogi, a ja jak nie pyszny, w lakierowanych butach, wprawdzie różaną, ale zawsze mokrą drogą, przeprawiać się musiałem się do dworu.

W pierwszej passyi chciałem, dawniejszym moim zwyczajem, niezgrabnego fornala w kark palnąć, żeby aż z kozła zleciał; lecz w tej chwili stanowczej, w sam czas jeszcze, przypomniałem sobie, że minęły błogie czasy, kiedy to chłop kolejno jeździł za pańszczyznę, bo nasz niezgrabny fornal, wziąwszy z góry na rok pensyą i ubior, po takiem zażyciu, pewnieby albo zaraz ze służby uciekł, lub co gorsza, za obrazę honoru furmańskiego, wprost do cyrkułu na skargę poleciał. Wstrzymałem się przeto w szlachetnym zapale, i w zamoczonych butach stanąłem w przedpokoju, do rozbierania przeznaczonym.

O ile można starałem się oczyścić, a pod ten czas zapytałem mego konduktora:

— Czy u państwa Zygmuntów bawią jakie panny?

— Tylko panna Innocenta, lecz już zaręczona, nie masz więc czego się bać, a prócz gospodyni jest jeszcze poważna druga dama, matka samej pani.

— I ponoś kwaterunek wojskowy?

— Tak jest: huzary.

— Co huzary! to doskonale, więc będziem mieli: Damy i huzary! Cieszę się mocno z tego.

— A to dla czego?

— Bo spodziewam się ujrzeć całą komedją Fredrowską: Damy i Huzary w komplecie.

— W jakim że znowu komplecie?

— A jużciż ze wszystkiemi, do tej komedyi należącemi osobami, a ponieważ w niej niepospolitą rolę odgrywają trzy pokojówki: Józia, Zuzia i Fruzia, więc zdybiemy się i z pokojówkami, które zwykle we wszystkich tego życia komedyach, najprzyjemniejszą odgrywają rolę.

— Pip swoje, a djak swoje — odciął mój konduktor.

— Pozwolisz, że jako prawdziwy domator, lubię co jest w domu, wszystko, i każdy domestikus wzbudza we mnie...... Chciałem coś dalej pleść, kiedy spostrzegłem przez szparę nieco odchylonych drzwi, ciekawie zazierające jakieś oczy, które zaraz uciekły i usłyszałem jakieś krztuszenie się śmiechu niewieściego.

— Słyszysz, rzekłem, jak się śmieją, a gdzie się śmieją, tam ich jest najmniej dwie, a trzecia się znajdzie, więc będziemy mieli: Damy i Huzary w komplecie.

Nawiasowo muszę tu zrobić uwagę: że ten śmiech i te głosiki, chociaż pokojówczane, nader były przyjemne i ponętne, bo głos wdzięczny niewieści, jest częstokroć niebezpieczniejszym od owego węża w raju. Ręczę gdyby już w tenczas ten nieszczęśliwy papier i obrzydliwy atrament był wynaleziony, i pan Adam cały bilet doux panny Ewy musiał sobie prześlabizować, ręczę, że zaraz przy pierwszej literze zasnął by jak przy muchomorach w Czasie, i nie wziął się do jabłuszka, a ród ludzki ocalonymby został.

Tymczasem weszliśmy do drugiego pokoju. Tam spotkaliśmy pana Zygmunta, który podziękowawszy mnie za odwiedziny, wprowadził nas do salonu, gdzie siedziało dwie kobiet, i jedna panna. Duch we mnie wstąpił gdym nie ujrzał ani jednego huzara, bo nie umiem po węgiersku ani jednego słowa, po niemiecku nie wiele więcej, a trudno się przecież z mężczyznami na migi rozmawiać.

W salonie więc siedziało trzy panie. Najprzód już podeszłego wieku matka pani Zygmuntowej, ślęczała nad poważnym Czasem, panna Innocenta przeglądała Nowiny, wraz z wzorkami mód, a sama gospodyni siedziała przy fortepianie.

Wstępujemy, ja oczywiście uroczystym krokiem, jakby z mową tronową w ręku — z głupim jakimś konceptem w gębie. Ukłoniłem się poważnie.

Pan Kłapczykiewicz! — moja żona! zaprezentował gospodarz, wprowadzając mnie.

Ukłoniłem się jeszcze poważniej i chciałem coś powiedzieć. W tem spostrzegłem jak pani domu znienacka uśmiechnęła się z mojej poważnej figury, i czekała zapewne na pierwsze moje słowo, ale ja pomyślałem sobie:

—Aha! nie głupim mospanie, kiedym się głupio ukłonił niechże przynajmniej nie powiem coś głupiego, będę więc milczał, bo milczenie jest znakiem mądrości, i co najważniejsza, że milcząc nic się głupiego nie powie.

A ponieważ jestem stałego charakteru, więc milczałem jak zaklęty. Cierpliwość pani Zygmuntowej wystawioną była na wielką próbę. A że trudno było wiecznie milczeć, więc zdecydowała się przecież przerwać tę uroczystą ciszę zapytaniem:

— Czy pan znowu w naszych stronach?

—Przyjechałem pani dobrodziejko, tylko na parę dni do mojego przyjaciela.

Pierwsze kłamstwo udało mi się jakoś dość zgrabnie, bo przyjaciele żyli jeszcze za czasów pogaństwa, na puszczach i w jaskiniach i zajadali korzonki leśne.

— To pan już nie mieszkasz na wsi?

—Nie, pani dobrodziejko, wyprzedałem się zupełnie opuściłem gospodarstwo, i jestem teraz komornikiem.

— Lecz bez dyjet i bez sekwestrów, to źle!

— I sam tytuł na wsi, zawsze coś wart, odrzekłem nieśmiało; bo we Lwowie to nie rarytas, tam w każdej traktyerni i kawiarni, znajdziesz więcej komorników niż klientów.

Kontent byłem z konceptu, który mi wpadł jeszcze w kawiarni Lewakowskiego i traktyerni Götza.

— Szkoda przecież, ciągnęła dalej gospodyni, żeś pan

porzucił gospodarstwo, wszak pan byłeś tak zamiłowanym.

—Przekonałem się, że dziś ta bardzo niewdzięczna niwa wymaga mozolnej pracy, której samemu podołać trudno.

— Toś pan sobie sam winien.

— A to dlaczego pani dobrodziejko?

— Czego się pan nie żenisz?. I uśmiechnęła się pani Zygmuntowa filuternie, znając zapewne z plotek okolicznych moje usposobienie.

Wyrzeczone: dictum acerbum, które nieprzygotowanego tak raptem zaskoczyło, zbiło mnie zupełnie z terminu i kiedym się już szczęśliwie zawiązanym dyskursem mocno w duszy cieszył — ledwie że wyjąknąć potrafiłem:

— Kiedyżbo....to...ten zwyczaj.... to jest... ten nałog.... chciałem powiedzieć.... ta małżeńska instytucya.... czy konstytucya... a ja nie mam... pani dobrodziejko... mocnej konstytucyi — w dowód czego kaszlnąłem dwa razy i zaciąłem się, widząc żem się szkaradnie poplątał. (D. n.)

Rozmaitość.

Z nad ujścia Wisłoki. 30 Stycznia.

(Dokończenie).

Powróciłem właśnie z Tarnowa, a jeśli nasze życie na wsi nie bardzo jest miłem, to też i mieszkanie w mieście, nie wiele dzisiaj ma powabów. Drogość nadzwyczajna a w skutek niej bieda między mniejszemi urzędnikami nie do opisania, bo jakże tu wyżyć z małej pensyi?Rzemieślnik, kupiec, kapitalista potrafi zaradzić sobie podrożeniem wyrobów, towarów, lub lichwy. Na jednego biednego urzędnika spada cały ciężar tego że tak powiem anormalnego stanu.

Mimo tego jednak zastałem w Tarnowie towarzystwo aktorów niemieckich ze Szląska i towarzystwo baletników braci Schier z Wiednia.

Żałuję bardzo, że nie mając odwagi narażać się na cholerę przez zaziębienie, pierwszego nie odwiedziłem. Słyszałem bowiem że przedstawienia odbywają się w kamienicy bez okien a podobno i bez dachu i że Primadona najczulsze sceny, które przy śpiewie słowika w gaiku się odbywają, odgrywa w kożuchu węgierskim. Nie dziw zatem że powróciwszy do domu będzie wyklinać na przeklęty tutejszy klimat.

Zresztą, niedawny przykład Megerlego i Belinga nie może od tego złudzenia wyleczyć, że obecnie w Galicyi podobne przedsiębierstwa się nie powodzą, lubo słyszałem że na tego drugiego, crema krakowskiej młodzieży zebrała znaczną składkę. Pod cremą rozumiem najstarszą młodzież.

Na przedstawieniach braci Schier byłem parę razy, bo te przynajmniej w opalonej sali się odbywały. Ale właśnie dla tego, że w sali na parkiecie, bez żadnego wywyższenia, cały urok baletu zniknął, ze szkodą dla widzów i baletniczek, bo widzom najzręczniejszy skok baletniczki zagraża guzem na czole, baletniczkom zaś takie bliskie sąsiedztwo z publicznością musi być nie miłe, bo publiczność nie tylko każden skok fałszywy, ale nawet i rumieniec dokładnie ocenić może. Lecz prawda, że to dziś fałsz jest chlebem powszednim, choć fałszywe złoto, srebro, fałszywe karty, fałszywe panny i kobiety, fałszywe posagi, fałszywy szampan, a nawet Feslauer jest w modzie, czemużby i fałszywa Pepita nie miała mieć wzięcia.

Z resztą zobaczycie niedługo to towarzystwo u siebie więc lepiej odemnie ocenić będziecie mogli, tem bardziej że pewnie zyskacie, bo towarzystwo braci Schierów, zapewne przez drogę swoje gospodarstwo wypierze, lub też śniegiem zasypana droga już rzeczy garderoby tej nie zbrudzi. Zalecam jednak taniec sławacki, dla swej oryginalności, i siłę S. Czalika, bo za to ręczę, że on żadnego dentysty jeszcze nie potrzebował. Podnosi bowiem w zębach i obchodzi po sali stół na 21 osób wraz z jednym na nim siedzącym amatorem. Co by to było żeby nasza młodzież tak chciała spróbować. Ujheli, dentysta krakowski, pewnie drugą kamienicę by kupił.

* Reduty ostatnie były bardzo ożywiwione, chociaż zanadto było natłoku.

* JO. Księżna Sapieżyna tego roku nie daje balu na cele dobroczynne, a mianowicie na zakłady pod jej opieką zostające, lecz urządziła składkę z której 700 złr. już przed dwoma tygodniami oddała p. Adamskiemu, zawiadującemu kasą szpitalku dla małych dzieci, a podobno jeszcze drugie tyle wpłynie.

* Bal dzisiejszy na strzelnicy ma zaszczycić swoją obecnością Jego Exc. hr. Namiestnik.

* W niedzielę towarzystwo strzeleckie urządza na strzelnicy bal, z którego dochód wpłynąć ma do funduszu pożyczkowego dla rzemieślników.

* Z tańców karnawałowych tego roku wydanych odznacza się Polka utworu p. Konst. Pithos. Motywa wzięte z les filles de Marbre, musique de Montaubry. Osobliwie w trio jest wiele oryginalności, jakieś odgłosy dalekiej szlachtady słychać w niem.

* Bal sobotni na korzyść towarzystwa dobroczynności wypadł jak najpomyślniej. Zgromadzenie było bardzo świetne i liczne. Prezesowa towarzystwa dam dobroczynności, Jej Exc. hrabina Namiestnikowa była na czele gospodyń balu. Bardzo wiele było na tym balu znakomitości i piękności, stroje gustowne, ochota do zabawy szczera. Loterya fantowa zajmowała wszystkich. Do koła fortuny dobijał się tłum osób. Namiętność obudzona do wygrania jakiego pięknego fantu owładała niejednego, ale tym razem biednym jedynie szła w pożytek. Wszystkie bilety rozkupiono a tysiącami karteczek białych, niewygrywających, sale były zasłane. Czystego dochodu zostało przeszło 1500 złr. m. k.

* Sprostowanie. Przekonawszy się żeśmy mylnie przypisywali tak: Wierszyk i Odpowiedź umieszczone w Nrze 1. «Nowin» z dnia 2. stycznia 1855, osobom tamże wymienionym, mamy sobie za powinność sprostować niniejszem tę pomyłkę; wszakże żałujemy, iż zadosyć czyniąc żądaniu autorów obu tych pięknych poezyi, musimy zataić ich nazwiska, tem bardziej iż są znanymi obywatelami tutejszej prowincyi.

* Pierwsza część Pamiętników Ułana wyszła już z druku i w tych dniach szanownym prenumeratorom rozesłana będzie. Druga część niebawem wyjdzie, i podobnież prenumeratorom pocztą przesłana będzie. W drugiej części autor wiele ciekawych pododawał rzeczy, z którego to powodu druk się opóźnił.

* Drugi bal u Jego Excellencyi hrabiego Namiestnika w sobotę.

* W niedzielę u JW. hrabstwa Turkułów był bal kostiumowy.

* Do dzisiejszego numeru dołączone są ryciny mód i desenie.

Znaczenie poprzedniej szarady: **Rękawka.**

Szarady.

1. Wspak pierwszą między litery,
Drugą i trzecią sklejasz papiery,
Trzecia i czwarta stan duszy spowiada.
Całość gdy chybisz zaraz usiada.

2. Pierwsza z drugą w Ameryce,
Pierwsza z trzecią, to zwierz mały.
Całość dajesz dosyć skrycie
Dla poparcia dobrej sprawy.

Przyjechali od dnia 9. do 11. Lutego do Lwowa.

PP. Zarzycki Tytus, z Ruśnik. Babecki Leon, z Milatycz. Olszewski Tyburcy, z Bazaru. Wybranowski Roman, z Dzwinogrodu. Jakubowicz Józef, z Kurzan. Borkowski Bolesław, hr. z Mielnicy. Dobek Konstanty, ze Sarnik górnych. Bal Franciszek, z Tuligłów. Pilatowski Jan, z Bóbrki. Komorowski Piotr, hr. z Bilinki.

PP. Kuczyński Leon, z Lubowa. Kuczyński Felicyan, z Korkowa. Winnicki Tytus, z Liska. Krzysztofowicz Antoni, z Trybuchowic Gottleb Kwiryn, z Dołhomościsk. Tretter Hilary, z Dzwiniacza. Tretter Konstanty, z Łoniego.

PP. Tenczarowski Tomasz, z Brzeżan. Barański Karol, z Chłopczyc. Nahujowski Jan, se Stryja. Szawłowski Tytus, z Barysza. Tustanowski Juliusz, ze Żurawna. Bocheński Józef, z Głęboczka. Romański Wincenty, z Rohatyna. Wybranowski Roman, z Dzwinogrodu. Płocki Józef, z Jawczego. Drohojowski Józef, hr. z Balic. Hagen Gustaw, br. z Wielkich ocz. Głogowski Artur, z Bojańca.

Wyjechali dnia 9. do 11. Lutego ze Lwowa:

PP. Eminowicz Kajetan, do Kulawy. Szymanowski Franciszek, do Spassowa. Strzelecki Eugeniusz, do Wyrowa. Waszkiewicz Włodzimierz, do Bilki. Michalewski Józef, do Niedzielisk. Ośmiałowski Szymon, do Janczyna. Morawski Romuald, do Dobrowód. Karnicki Feliks, hr. do Rogużna. Płocki Józef, do Jawczego.

PP. Bogdanowicz Maksymilian, do Prusinowa. Obniski Wiktor, do Mycowa. Obertyński Wacław, do Sawczyna. Zamojski Adam, hr. do Łopatyna. Czajkowski Adam, do Bobrki. Wybranowski Roman, do Dzwinogrodu.

PP. Zagórski Karol, do Oleska. Udrycki Adolf, do Choronowa. Gnoiński Aleksander, do Krasnego. Torosiewicz Maurycy i Michał, do Poliowa. Seelig Ernest, do Sambora, Zabielski Teodor i Józef, do Mszany. Jankowski Ludwik, do Bojkowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 9. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	$127\frac{1}{2}$	Pożyczka 5% $82\frac{9}{16}$ 4½	$71\frac{7}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{5}{8}$	Akcye banku	1007
Londyn za 1 funt szterl.,	12 21	Kolej północna	1955
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	75
Paryż za 300 franków .	$148\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loteryą	$106\frac{5}{8}$
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa . .	$86\frac{13}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

		Gotówką			towarem		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	52	złr. 5	kr.	59
Dukat cesarski	«	5	»	57	» 5	«	12
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	10	» 10	«	59
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	« 1	»	56
Talar pruski	»	1	«	54	» 1	«	60
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	25	» 1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	24	» 93	«	46
Obligacye indemnizacyjne z kuponami.	»	76	»	44	» 76	»	54
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		75	«	20	.. 75	,.	30

(30) **S W A T Y.** (2—3)

Wykształcony mężczyzna, 28 lat mający, oddający się zawodom zyskownym i posiadający realność wolną o 66 morgach, składającą się z łąk i roli, znacznej pasieki i wielu zabudowań gospodarskich, nie obciążoną żadnemi długami, nie mający ani rodziców ani rodzeństwa, życzy sobie pojąć za żonę panienkę dobrze wychowaną, lub wdowę, przyjemnej powierzchowności, biegłą we wszystkich damskich robotach i zatrudnieniach, i z posagiem stósownym. Mężczyzna ten używa tego sposobu jawności z powodu iż w tej okolicy niema dostatecznych znajomości. Za dochowanie tajemnicy ręczy swą uczciwością i uprasza jedynie o dokładny opis szczegółów powyżej wymienionych. Adresować prosi pod znakiem: X. X. Nr. 100 franco poste restante we Lwowie.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**